



★
GRZEGORZ
MAJEWSKI
★

Pętla

LITERATE

*Za to, że wolnym chciałem być,
ścigają mnie jak sfora psów
ci, co na smyczy wolą żyć
i nie podniosą nigdy głów.
Moja wolności, nie znał cię
żaden niewolnik, żaden pies.
Obroża dla nich zwykła rzecz,
obroża dla mnie pętla jest.
Dla mej wolności...
Mojej wolności...*

Lech Makowiecki, *Ostatni nabój*

PROLOG

Lidia Went skończyła śpiewać. Publiczność zgromadzona w sali restauracyjnej hotelu Polonia poderwała się z krzeseł i głośnymi brawami nagrodziła piosenkarkę za występ. Kobieta uśmiechnęła się. Przyłożyła długą cygarniczkę do uszminkowanych ust i zaciągnęła się papierosem umieszczonym na jej pozłacanym końcu. Odchyliła głowę. Wypuściła dym, a drugą ręką delikatnie przejechała po nodze, podciągając dżersej sukienki ponad kolano. Na widok odsłoniętego uda publiczność do oklasków dołożyła gwizdy i nieprzyzwoite okrzyki. Lidia doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że większość mężczyzn pojawia się na jej występie właśnie po to, a nie by podziwiać jej talent wokalny. To dla nich malowała usta i paznokcie na czerwono, wkładała krótkie sukienki, a do programu wprowadziła drobne, zmysłowe gesty. Jej dusza artystki nie widziała w tym nic złego i nie obchodziło ją to, że zazdrosne partnerki wielbicieli uznawały je za lubieżne i niepotrzebne. Mężczyźni mieli zupełnie inne zdanie w tej kwestii. Tego była pewna, podobnie jak i tego, że samym śpiewem nie zapełniłaby sali najdroższego hotelu w Warszawie.

Adam Nowacki nie dołączył do podnieconego tłumu. Poprawił biały obrus na ustawionym w kącie stoliku, który potracił spieszący pod scenę oficer NKWD. Sięgnął po papierosnicę, wyjął ostatniego papierosa i zapalił. Nie musiał

tak jak inni zabiegać o względy piosenkarki. Wiedział, że podobnie jak po każdym takim występie, i tak spotkają się w garderobie, a po krótkiej chwili wylądują w łóżku w wynajmowanym przez niego pokoju trzy piętra wyżej. Nie przyzwyczał się jednak jeszcze do zainteresowania, które wzbudzała jego partnerka, i dlatego z niepokojem obserwował rozochoconych mężczyzn wdzierających się na scenę. W większości byli to wojskowi, ale też i cywile. Oficerowie NKWD czy Ludowego Wojska Polskiego, ministrowie, a nawet dyplomaci z mieszczących się w Polonii ambasad – wszyscy oni zabiegali o względy Lidii Went.

Kobieca postać w czerwonej sukience i blond włosach ułożonych w miękkie fale, na których spoczywał zawadiacko przekrzywiony kapelusik, coraz szybciej niknęła Nowackiemu z oczu. Mężczyzna podniósł się i ruszył do wyjścia. Nie miał ochoty dłużej na to patrzeć. Mimo iż powstrzymywał się przed tym, by nie zerkać w stronę sceny, nim dotarł do korytarza, zdołał jeszcze dostrzec starszego jegomościa w granatowym garniturze. Stał naprzeciw piosenkarki, a w wielkich dłoniach ścisnął bukiet róż. Kobieta przyjęła podarunek, zarumieniła się i podziękowała całusem w nieogolony policzek. Wściekły Adam wyszedł z sali.

Na korytarzu było pusto. Przynajmniej tak się zdawało Nowackiemu, bo nie dostrzegł mężczyzny w szarym płaszczu opierającego się o jeden z filarów. Nie brał przy tym pod uwagę recepcjonisty i młodego boja hotelowego z tacą papierosów, którego wyminął w wejściu do sali restauracyjnej. Szedł prosto do garderoby Lidii, gdzie jak zwykle chciał ją przywitać po występie. Oczywiście

w towarzystwie niezliczonej ilości kwiatów, szampana i kawioru. Robił tak za każdym razem. Na wszelki wypadek, by pokazać jej, że jest ponad tymi wszystkimi, którzy przychodzą do niej z nędnym bukietem róż.

– Mamy problem.

Nowacki w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na te słowa. Dopiero po chwili zrozumiał, że zostały wypowiedziane do niego. Zatrzymał się i spojrzał na mężczyznę. Rozpoznał w nim Waldka Bednarka, człowieka pomagającego mu w sprzedaży kradzionych fantów przejętych od szabrowników na Ziemiach Odzyskanych.

– Mamy problem – powtórzył paser głośniejszym głosem, lecz to nie było konieczne. Adam słyszał go doskonale, choć zdecydowanie bardziej by wołał, aby te słowa nigdy nie zostały wypowiedziane.

Z Bednarkiem skontaktował go kolega ze szkoły. Twierdził, że nie ma w stolicy lepszego sprzedawcy kradzionego towaru niż Waldek. A takiej właśnie osoby potrzebował Nowacki. Przecież on, oficer Sekcji Specjalnej Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozpracowującej partyzanckie bandy, nie mógł się tym zajmować. Poza tym zupełnie się nie znał na sprzedaży.

Bednarek ochoczo zabrał się do pracy, ustaliwszy wcześniej swój procent. Adam przystał na warunki i już po kilku dniach mógł pozwolić sobie na bywanie w Polonii na obiadach i wódce. To właśnie podczas jednej z takich wizyt zupełnie przypadkiem natknął się na występ Lidii Went. Ujrzał ją na scenie i postanowił zrobić wszystko, aby zdobyć piosenkarkę.

Wkrótce mu się udało. Zamieszkali razem w jednym z hotelowych pokoi i rozpoczęli hulaszcze życie, jakiego nie powstydziałaby się para artystów z przedwojennego Paryża. Zrujnowanej Warszawie daleko było do stolicy Francji, a on nie należał do bohemy, lecz był zwykłym wojskowym. Nowacki jednak zbyt się rozsmakował w bywaniu na salonach, aby wracać do wcześniejszego życia.

Na szczęście ciężarówka zapełniona kradzionymi fantami nie była jedynym sukcesem, który osiągnął podczas misji w Wałczu. Udało mu się tam rozbić kilkusobowy oddział partyzancki, a także zlikwidować szajkę niebezpiecznych szabrowników pod dowództwem Basiora. To jednak nie było wszystko. Prawdziwe uznanie zdobył za rozpracowanie i zabicie Żeliszawa Rosy. Niepozorny leśniczy okazał się osławionym Demonem, który podczas okupacji wykonywał wyroki śmierci na niemieckich oficerach. Przez lata był nieuchwytny dla Niemców, a po wyzwoleniu i dla nowych władz Polski Ludowej.

Po tej misji Adam stał się niemalże bohaterem. Niestety po wykorzystaniu miesięcznej przepustki, która była dowodem uznania za działalność w służbie narodu, musiał się zgłosić z powrotem do sztabu głównego KBW. Nowacki nie miał na to najmniejszej ochoty, zwłaszcza że właśnie zaczęło mu się tak znakomicie układać z Lidią. Jego dowódca, pułkownik Kosiński, na szczęście dał się przekonać do tego, aby przedłużyć mu przepustkę. Oczywiście nieformalnie, bo formalnie kabewiak został przydzielony do kolejnej tajnej misji. Dowódcy w podjęciu tej decyzji pomogło zapewnienie Adama, że będzie miał oczy i uszy

szeroko otwarte i zainteresuje się każdym podejrzanym typem, którego spotka w Polsce. Największe znaczenie miało jednak to, że na biurku przełożonego wylądował gruby zwitek banknotów. Dzięki temu Adam mógł z jeszcze większą intensywnością rzucić się w wir rozrywkowego życia zakrapianego najdroższymi alkoholami.

Słowa, które Nowacki usłyszał przed chwilą, uświadomiły mu, że zbliżało się najgorsze. Liczył się z tym, że Waldek w końcu wyprzeda całą zawartość ciężarówki, lecz za każdym razem, gdy pojawiała się taka myśl, zagłuszał ją dobrą zabawą i alkoholem. Tym razem usłyszał to bardzo wyraźnie.

Otworzył papierośnicę i mruknął coś z niezadowoleniem, widząc, że jest pusta. Niedbałym ruchem ręki przywołał boja. Chłopak zameldował się przed nimi zaskakująco szybko. Jeśli chciał liczyć na obfite napiwki, nie mógł ignorować gości, a w szczególności Nowackiego.

Adam chwycił paczkę chesterfieldów, a na ich miejsce rzucił pomięty banknot.

– Lepiej zacznij się już przyzwyczajać do naszych – stwierdził Bednarek, zerkając na tacę, na której obok zachodnich papierosów leżały jeszcze rodzime bałtyki.

Boj podziękował ruchem głowy i oddalił się pospiesznie, wiedząc, że tacy goście jak Nowacki nie lubią, kiedy ktokolwiek przysłuchuje się temu, jak rozmawiają. W myślach nazywał ich „podejrzanyimi typami”, bo cały dzień nic nie robili, tylko balowali. To nie byli ani dyplomaci, ani ruscy oficerowie, więc domyślał się, że to po prostu szmuglerzy zajmujący się szemranymi interesami. Skąd

mieli pieniądze, to go nie obchodziło. Dopóki płacili, a on miał z tego niezłe profity, dopóty warto było koło nich skakać, aż z nadmierną dbałością. O pozostałych gościach nie zapominał, lecz wiedział, że za dużo na nich nie zarobi. Od wojskowych nic nie dostanie, dyplomaci płacili zazwyczaj zachodnią walutą, którą nie miał pojęcia, jak wykorzystać, a reszta gości, zaskoczona horrendalnymi cenami hotelu, liczyła się z każdą złotówką. Na szczęście dla niego „podejrzanych typów” w Polsce nie brakowało.

– Co się stało? – zapytał Nowacki i mocno zaciągnął się papierosem.

– Sprzedałem już cały towar – wyjaśnił paser. – Włącznie z ciężarówką.

Adam z niepokojem obserwował, jak Bednarek sięga do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciąga z niej plik banknotów zawiniętych w gazetę.

– Za długo za to nie pożyję – jęknął, oceniając grubość pakunku jako zbyt małą w stosunku do jego obecnych potrzeb.

Mężczyzna uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Równie dobrze można było zamieszkać w jakiejś willi na przedmieściach i tam przechlewać te pieniądze. Na pewno na dłużej by starczyło. Bo i gorzała, i prostytutki tańsze, a i niektórym kolegom ubekom nie chciałoby się taki kawał dojeżdżać.

Nowacki poczuł, jak w przypływie gniewu zaczyna go swędzieć blizna nad prawym okiem. Bezwiednie uniósł rękę i potarł to miejsce. Działo się tak zawsze, kiedy ktoś wyprowadzał go z równowagi, a on nie mógł zareagować.

„Nigdy nie byłem ubekiem i nie miałem wśród nich kolegów!” – chciał wrzasnąć Bednarkowi w twarz, lecz szkoda było zachodu. Z ubekami nie miał nic wspólnego, choć pewnie kilku z nich się załapało na darmową wódkę, kiedy po pijanemu stawiał każdemu i z każdym się obejmował. To pewnie wystarczyło, by ludzie go osądzili. Poza tym resort bezpieczeństwa po misji w Wałczu zrobił z niego jednego ze swoich najlepszych ludzi. A on był zwykłym żołnierzem. Ale tego Bednarkowi nie miał ochoty tłumaczyć, bo sam już się pogubił w tym, komu tak naprawdę służył.

„A więc to już rzeczywiście koniec” – pomyślał. Przez chwilę nie chciał przyjąć pakunku, próbując odwlec coś, co zwiastowało powrót do poprzedniego życia. Wreszcie chwycił pieniądze i szybkim krokiem ruszył w stronę garderoby Lidii. Zamierzał te ostatnie dni spędzić z wielką pompą, wierząc, że później jakoś się wszystko poukłada. Przecież nie musieli codziennie popijać szampana i zajądać się kawiozem, aby być szczęśliwymi.

– Polecam się na przyszłość! – krzyknął za nim Bednarek.

Adam nie odpowiedział, lecz nie puścił tego mimo uszu. Kontakt z paserem warto było zachować, bo nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Może znów nadarzy się okazja podczas wykonywania jakiejś misji, dzięki której wróci na warszawskie salony.

– Kochanie, zabawmy się dziś jak nigdy wcześniej! – zawołał, wbiegając do garderoby.

Lidia Went podniosła się od toaletki z lustrem, przed którym poprawiała fryzurę. Spojrzała na Adama i uśmiech-

nęła się szelmowsko. Takiego właśnie go kochała, szalonego i nieprzewidywalnego. I wiedziała, jak mu za to podziękować. Koniuszkami palców zsunęła ramiączka sukienki. Materiał z cichym szelestem ześlizgnął się z jej ciała. Nie miała nic pod spodem. Usłyszała głośne westchnięcie Adama, a po sekundzie utonęła w jego ramionach.

Tylko zabijanie komunistów sprawiało mu przyjemność. Od śmierci Jagody walka z czerwoną zarazą stała się dla Edwarda Berga sensem życia. Nie miało znaczenia to, czy byli to ubecy, pepeerowcy, czy milicjanci. Wszyscy oni byli winni i każdego miała dosięgnąć jego sprawiedliwość.

Zatrzymali się po drugiej stronie drogi. Naprzeciwko posterunku milicji w Miłkach. Czterech mężczyzn natychmiast zwróciło uwagę nielicznych przechodniów. Nikt nie zareagował. Ludzie wiedzieli, że to chłopaki z lasu. Najpewniej ludzie Kosy, więc zaraz miała zacząć się jatka. Nim partyzanci skończyli palić papierosy, droga opustoszała. Mieszkańcy pochowali się w domach, czekając na pierwsze strzały.

Po strojach mężczyzn można było poznać, dla których z nich taki wypad to nie pierwszozna, a dla których to chrzest bojowy. Dwóch mimo październikowego chłodu ubranych było w skórzane kurtki, bryczesy i wypastowane oficerki. Wysoki blondyn ze spokojem obserwował okolicę, paląc papierosa. Krótko przystrzyżony, brodaty rudzielec z zamkniętymi oczami wystawiał twarz do słońca. Pozostali dwaj, w połatanych portkach, dziurawych kożuchach bez rękawów i znoszonych wojskowych trzewiakach, prezentowali się przy nich dość marnie.

Wreszcie blondyn skończył palić i przydepnął niedopałek. Poprawił plecak i ruszył przed siebie. Po kilku krokach zatrzymał się i obrócił.

– Rudy, co z tobą?

Berg oprzytomniał. Popatrzył na niego i lekko się uśmiechnął. Od śmierci Jagody do każdej akcji dobierał sobie właśnie Donata. Przede wszystkim dlatego, że jego kolega pałał równie wielką nienawiścią do czerwonych. Obaj stracili kogoś bliskiego w tej samej akcji. Edward narzeczoną, a Donat najlepszego przyjaciela. Teraz razem brali krwawy odwet.

– Wiecie, co macie robić? – Rudzielec zmierzył surowym wzrokiem dwóch pozostałych partyzantów.

– Tak jest – wyrwali się prawie równocześnie i chwycili za schmeissery. Nim je wyciągnęli zza grubych kożuchów, minęło sporo czasu. Bardziej doświadczeni partyzanci pokiwali głowami z politowaniem.

– Panowie – uspokoił ich Berg. – To tylko w ostateczności, a dzisiaj w ogóle może się nie przydać.

Zmieszani kandydaci na partyzantów wsunęli automaty z powrotem pod kożuchy. Rudy nie dziwił się ich podnieceniu i chęci do walki. Trafili do oddziału Kosy, który jako jedyny otwarcie przeciwstawił się reżymowi. Po wysadzeniu budynku UB w Przemyśle i zabiciu najwyższych rangą oficerów zrobiło się o nich głośno. A Kosa wcale nie zamierzał się wycofać. Atakował posterunki milicji i komitety powiatowe, pokazując władzy, że się jej nie boi. Gdyby tylko więcej było takich oddziałów, Polska rzeczywiście mogłaby odzyskać wolność.

Dzisiejsza akcja nie należała raczej do niebezpiecznych. Posterunek MO w Miłkach obsadzony był przez czterech funkcjonariuszy. Byli to młodzi chłopcy, którzy

nie mieli wielkiego pojęcia o walce. Broń przy paskach im ciążyła i potrzebowali dwóch rąk, żeby jej dobyć. Lecz Kosa nie zamierzał darować nawet takim.

Berg minął Donata bez słowa. Przeładował parabel-lum i kopniakiem otworzył drzwi posterunku.

– Pod ścianę! Wszyscy pod ścianę!

Milicjanci najpierw popatrzyli na siebie ze zdziwieniem, a później unieśli lekko ręce. Żaden nie ruszył się z miejsca. Zaskoczeni wpatrywali się w lufę pistoletu, która krążyła im przed oczami.

Donat podszedł do najwyższego stopniem. Czy tak było w rzeczywistości, tego nie był pewien, ponieważ żaden z nich nie miał munduru czy dystynkcji. Ubrani w połatane spodnie i poprute marynarki, bardziej przypominali zwykłych gospodarzy niż milicjantów. Do pasków mieli przymocowane kabury z pistoletami, a na rękawach – białe-czerwone przepaski. Blondyn wybrał tego, który siedział za biurkiem przy puszcze z wizerunkiem konia na zielonym polu z napisem „Horse Meat”.

– A ruskie wam nie smakują? – zapytał, wyciągając milicjantowi z kieszeni marynarki paczkę cameli. – My tu głodujemy, a ci się objadają prezentami od cioci Unrry. Ładnie to tak, komendancie?

Milicjant przełknął głośno ślinę, rozpaczliwym wzrokiem szukając pomocy u pozostałych kolegów. Nikt nie zamierzał dyskutować z partyzantami. Po co tłumaczyć, że tak naprawdę posterunek działa od niedawna i jeszcze nie ma wśród nich dowódcy? Józek był zawsze taki wygadany, to teraz ma za swoje. Chciał zgrywać ważnego,

bo niby za biurkiem siedzi. Każdy miał cichą nadzieję, że jak go sprzątną, to może chociaż im darują.

Donat podniósł go za kołnierz. Wyciągnął tetetkę z kabury i pchnął na ścianę. Milicjant zatoczył się i przywarł do niej najmocniej, jak potrafił. Z pozostałymi partyzant postąpił tak samo. Po krótkiej chwili cała rozbrojona czwórka z drzeniem podpierała ścianę.

– Macie jeszcze jakąś broń? – Blondyn schował do plecaka tetetki.

– W szafie dwa mosiny – bąknął niepewnie jeden z milicjantów.

Donat wyciągnął karabiny i podał je Bergowi.

– No to zabierzemy jeszcze trochę prowiantu i dziękujemy za gościnę. Kawę neskę macie? Kosa bardzo ją lubi.

– Powinna być pod biurkiem – odezwał się ten sam głos.

Donat wysunął ze wskazanego miejsca drewniane pudło z napisem „UNRRA” i uśmiechnął się, zaglądając do środka.

– Jak zwykle pomoc trafia do najbardziej potrzebujących – skwitował.

Puszki z tuszonką i koniną, mleko w proszku, a nawet masło, za którym akurat nie przepadali, bo było za słone, wrzucił do plecaka. Papierosów nie znalazł. Musieli więc zadowolić się tymi, które zabrał milicjantowi. Nie było też alkoholu, dlatego Donat z coraz większym przekonaniem skłaniał się ku opinii, że whisky dodawana do paczek żywnościowych to jedynie legenda. Chyba że to, co najlepsze, lądowało na biurkach Bieruta i jego kompanów.

Berg wyciągnął z szuflady wszystkie papiery. Nie miał zamiaru ich przeglądać, lecz wiedział, że wśród nich

na pewno znajdą się donosy, sprawozdania z odbierania kontyngentów i wszystkie informacje na temat okolicznych wrogów ustroju. Mimo że posterunek działał od niedawna, akurat to zadanie wykonywał niezwykle pręźnie.

Edward zapalił zapałkę i rzucił ją na stertę papierów. Buchnął ogień i po chwili pomieszczenie wypełniło się dymem.

– No to dziękujemy za gościnę i pozdrowienia dla towarzysza Tomasza. – Donat pomachał zdjęciu Bieruta zawieszonemu za biurkiem i ruszył do drzwi.

Rudy nie zamierzał jeszcze wychodzić. Przeładował parabellum i oddał cztery szybkie strzały. Jeden po drugim. Ruskim sposobem, w tył głowy.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! – wrzasnął Donat.

– Zabijam wrogów – stwierdził spokojnie Edward. Schował pistolet i chwycił mosiny. – Myślałem, że jesteś ze mną.

– No jestem, ale jak likwidujemy ważnych ubeków czy pepeerowców, a nie zwykłych kmiotków. Przecież oni nic złego nie zrobili oprócz objadania się prowiantem z Unrry. Nawet ludzie się na nich nie skarżyli. To były zwyczajne chłopaczki, które nigdy nie strzelały do naszych.

– Czarna była sanitariuszką, która nigdy do nikogo nie strzelała – syknął Rudy. – Zwyczajną dziewczyną marzącą o wolnej Polsce. I za to zginęła.

Wściekły Donat splunął i pobiegł za Bergiem. Nikt nie musiał mu o tym przypominać. Pamiętał dobrze twarze wszystkich tych, którzy zginęli. Prawie co noc odwiedzali go w snach Mały, Czarna, Sarmacki, Skalski i każdy inny z oddziału, który poległ w tej walce.

Po drugiej stronie drogi stali młodzi partyzanci z bronią gotową do strzału. Odchodząc, Donat miał wrażenie, że pochowani po domach ludzie przypatrują im się z coraz mniejszą życzliwością.

*

Pułkownik Tadeusz Kosiński drżącymi rękami odpalił papierosa. Nie za pierwszym, lecz dopiero za trzecim razem, gdyż kciuk irytująco ześlizgiwał się z zębátky metalowej zapalniczki. Zaciągnął się amerykańskim pall mallem i opadł na fotel.

Spotkania z Bierutem nigdy nie należały do przyjemnych, ale to było wyjątkowe. Nie tylko przy Radkiewiczzu i jego bezpośrednim przełożonym Ludwiku Sielickim, ale i przy wszystkich innych oficerach i urzędnikach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego pułkownik otrzymał słowną naganę. Jemu i tylko jemu, szefowi Sekcji Specjalnej Wydziału do Walki z Bandytyzmem, towarzysz Tomasz zarzucił opieszałość w działaniach i zignorowanie poważnego wystąpienia bandytów przeciwko władzy ludowej.

Był wściekły na siebie, bo taki zarzut kwalifikował go niemalże do miana sabotażysty. Musiał się pokajać i obiecać, że natychmiast zajmie się tą sprawą. I zrobi coś więcej, niż tylko przerzuci problem na Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi, po którym do biura wkroczył wysoki mężczyzna. Kiwnął głową i stanął

na baczność. Kosiński zmierzył go złowrogim spojrzeniem. Przystojny, młody i inteligentny porucznik Zdzisław Frątczak był jego zastępcą. I pierwszym kandydatem na jego stanowisko, gdy tylko powinie mu się noga. Zupełne przeciwieństwo podstarzałego, łysego pułkownika, który mimo swego doświadczenia popełniał proste błędy. Gdyby Frątczak wskoczył na miejsce swojego szefa, na pewno działałby z energią godną pozazdroszczenia. Ale do czasu. Przekonałby się w końcu, że tutaj wspina się bardzo ciężko, ale spada ekspresowo. Jednego dnia można popijać koniak z ministrem Radkiewiczem, a drugiego podziwiać świat zza zakratowanego okna.

Dlatego tym bardziej złościło Kosińskiego to, że zbyt rutynowo podszedł do swoich obowiązków i nie przywiązał zbytnej wagi do wydarzeń w Przemyślu. Ze słów Bieruta wynikało, że to faktycznie była poważna sprawa, która przerastała kompetencje WUBP.

– Gdzie jest raport z Przemyśla? – syknął, starając się pokazać, że na razie to jeszcze on siedzi za tym biurkiem.

– Przed towarzyszem pułkownikiem – odpowiedział spokojnie Frątczak. – Na biurku.

Kosiński poczuł, jak się czerwieni. Nie dość, że przystojny i inteligentny, to jeszcze pewny siebie, z dozą bezczelności. Prawdziwy młody wilk, który tylko czyha, by zagryźć starego basiora.

Chwycił raport i pośpiesznie go przekartkował. Zaklął w myślach, bo jedynie na tyle mógł sobie pozwolić w obecności zastępcy. Teraz już rozumiał, dlaczego nie zajął się tą sprawą. Siedemnaście stron, kiedy on zazwyczaj nu-

dził się już przy drugiej. Frątczak doskonale zdawał sobie z tego sprawę, więc właśnie na pierwszych dwóch stronach zawarł opis działalności partyzanckiej i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Przemyśle. Była tam jakaś wzmianka o zagrożeniu, ale wszystko, co najważniejsze, opisane zostało dalej. Dokładnie tam, gdzie na czytanie Kosińskiemu zabrakło już chęci. Dlatego odesłał raport z adnotacją, by zajęli się tym wojewódzcy. Ci oczywiście stwierdzili, że są jak najbardziej chętni do działania, ale prosiliby o wsparcie Warszawy, i dokument wrócił. Tym razem w ręce samego Bieruta. Choć pewnie z dużą pomocą zastępcy Kosińskiego.

– No to teraz w skrócie powiedzcie mi, co tam się wydarzyło. – Starszy oficer mimo całej afery nie był jednak chętny do tego, żeby marnować czas na czytanie.

– W raporcie szczegółowo przedstawiłem...

– Nie obchodzi mnie, co tam szczegółowo naskrobaliście – przerwał mu Kosiński.

Zdzisław chrząknął zmieszany. Co jak co, ale raporty potrafił przygotowywać doskonale. Dlatego też denerwowało go, gdy cała jego praca szła na marne, bo komuś, kto nie wiedzieć czemu znalazł się na wyższym stanowisku, nie chciało się czytać.

– No, zaczynajcie – ponaglił go pułkownik.

– Okręg przemyski terroryzowany jest przez bandytę o pseudonimie „Kosa”.

– Takie informacje, Frątczak, to ja mogę dostać od pierwszej lepszej przekupki z Przemyśla. A ona nie zarabia tyle, co oficer w Ministerstwie Bezpieczeństwa Pu-

blicznego. Powiedźcie mi, dlaczego wojewódzcy nie mogą sobie z nim poradzić? Każdy okręg ma jakiegoś bandytę.

Młodszy oficer poczerwieniał ze złości. Nie wiedział, czy bardziej przez to, że w tak prostacki sposób wytknięto mu brak kompetencji, czy dlatego, że jego przełożony nie miał pojęcia, kim jest Kosa. Ktoś, kto zajmował tak wysokie stanowisko w Wydziale do Walki z Bandytyzmem, musiał wiedzieć, że to nie jest zwykły bandyta. Najwyraźniej Kosiński miał ważniejsze sprawy na głowie, jak choćby obmacywanie swojej sekretarki, niż zapoznawanie się z informacjami o tym, co działo się od kilku tygodni w Przemyśle.

Kiedy Zdzisław dowiedział się, że w Wydziale do Walki z Bandytyzmem ma powstać sekcja specjalna skupiająca pod sobą nie tylko funkcjonariuszy UB, ale i żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, natychmiast zrozumiał, że takiej okazji nie może przepuścić. Użył wszystkich swoich znajomości, jeszcze z kursów NKWD w Kujbyszewie, aby to właśnie jemu przyznano dowodzenie nad tą elitarną sekcją. To była praca jego marzeń. Za działaniami w terenie nie przepadał, a stopień porucznika w tak młodym wieku zawdzięczał przede wszystkim ślepemu posłuszeństwu swoim przełożonym. Teraz miał szansę zasiąść za biurkiem i zacząć wykonywać naprawdę odpowiedzialne zadania. W jego przekonaniu nie było nic ważniejszego niż oczyszczenie Polski z „leśnych bandytów”. Tyle że on raczej wolał się skupić na nadzorowaniu działań mających do tego doprowadzić, niż biegać za partyzantami z karabinem.

Jakże wielkie było jego zdziwienie i rozczarowanie, gdy okazało się, że Radkiewicz na stanowisko szefa nowo powstałej sekcji specjalnej mianował kogoś zupełnie innego. Frątczak również został uwzględniony w tym projekcie, otrzymując stanowisko zastępcy. Lecz on, w przeciwieństwie do swoich przełożonych, nie odbierał tego w kategoriach wyróżnienia.

Od samego początku znienawidził pułkownika Kosińskiego. Podstarzały, łysy żołnierz bardziej nadawał się na emeryturę niż do przyjęcia na siebie tak poważnego zadania. Do Frątczaka nie trafiały żadne argumenty przemawiające na korzyść starszego oficera. Wiedział, że za tą nominacją nie stoi doświadczenie, ale jednorazowy sukces, który Kosiński osiągnął, dowodząc podobną sekcją w KBW. To właśnie jego ludzie, a konkretnie jeden, Adam Nowacki, zlikwidowali podczas misji na Ziemiach Odzyskanych legendarnego Demona. Kapitana Nowackiego obwołano niemalże bohaterem, a ojcem sukcesu został Kosiński. Frątczak nie miał wątpliwości co do tego, że właśnie to przeważało na korzyść pułkownika, a młodego oficera potraktowano jak młokosa, któremu dano szansę uczenia się od najlepszego. Zdzisław miał zupełnie inne plany. Chciał jak najszybciej udowodnić, że właśnie jemu należało się to stanowisko, dlatego podjął decyzję, że zrobi wszystko, aby wytknąć brak kompetencji swojemu szefowi. Czuł, że postępuje słusznie, choć zupełnie inne zachowanie doprowadziło go do miejsca, w którym się teraz znajdował.

– Kosa dopuścił się ataku na UB – wyjaśnił krótko.

– I co w tym dziwnego? – Kosiński wzruszył ramionami. – Nie on pierwszy i nie ostatni. Przecież w Przemyśle stacjonuje radzieckie wojsko. Chyba sobie poradzili z kilkoma łachudrami z lasu?

– Niezupełnie. Wojsko zostało czasowo przerzucone w inny rejon. W Przemyśle przebywał tylko Samodzielny Batalion Ochrony KBW. Kosa uderzył właśnie wtedy.

– A co, nasze chłopaki są gorsze od Ruskich, znaczy Rosjan? – Tadeusz szybko się poprawił. Nie przepadał za sojusznikami ze Wschodu, bo wszędzie się panoszyli. Żołnierze gwałcili i plądrowali, a oficerom nie można było się postawić, bo zaraz czekała wywózka w syberyjską tajgę. – Przejdziecie w końcu do rzeczy czy nie?

– Bandyci zaatakowali podstępem. – Frączak zaczął wyrzucać z siebie słowa z prędkością pistoletu maszynowego. – Jednemu z oficerów tamtejszego UB, niejakiemu Wolskiemu, udało się namówić do współpracy byłego partyzanta z oddziału Stalowego. Sarmackiego czy jakoś tak.

Kosiński zagwizdał przez zęby. Stalowcy byli największym wrzodem na dupie Niemców i o tym wiedział każdy. Niczego się nie bali i nie mieli żadnych skrupułów. Atakowali wroga, nawet jeśli byli w zdecydowanej mniejszości. To byli ludzie od czarnej roboty, którzy nie uznawali żadnego zwierzchnictwa i prowadzili z Niemcami swoją własną wojnę. Później ten wrzód w spadku otrzymała wolna Polska. Stalowcy pierwszego okupanta nienawidzili równie mocno, co drugiego. Ale z czasem o nich ucichło. Zaszyli się pewnie gdzieś w lesie, a może i nawet zrozumieli bezsens swojej walki.

– Ten Sarmacki przeniknął do oddziału Kosy – ciągnął Zdzisław. – Później pod pretekstem dostarczenia dowódcy partyzantów wprowadził bandytów do UB. Zabił oficerów, a budynek wysadził. Partyzanci zaatakowali również koszary, przebrawszy się za żołnierzy KBW. Strażników zabili, a więźniów wypuścili. Tego Wolskiego przywiązali do drzewa przed Przemyślem i rozstrzelali. Teraz atakują każdy posterunek milicji. Zabijają nie tylko funkcjonariuszy, ale również konfidentów. Nie mają litości dla nikogo. Oni wypowiedzieli nam wojnę.

Starszy oficer milczał, z zakłopotaniem pocierając łysinę. Teraz już nie miał wątpliwości co do tego, dlaczego Bierut był tak wściekły. I zupełnie mu się nie dziwił. Wiedział też, kto był winny tego, że nie zajął się tą sprawą.

– I wy mi to wszystko opisaliście w tym raporcie? – Podniósł luźne kartki.

– Tak jest, obywatelu pułkowniku – potwierdził dumnie Frątczak. – Bardziej szczegółowo i...

Nie dokończył. Papiery z furkotem przeleciały nad biurkiem i zatrzymały się na jego twarzy. Porucznik nawet nie drgnął, zerkał tylko to na kartki rozsypane na podłodze, to na rozwścieżonego przełożonego. Obawiał się, że następne w kolejce może być coś zdecydowanie cięższego.

– Powinienem kazać was, kurwa, rozstrzelać! – wydarł się Kosiński. Na poczerwieniałej twarzy i łysinie uwidoczniły się krosty, wcześniej maskowane błądzącością skóry. – To jest jawny sabotaż! Można posądzić was o działanie na szkodę państwa!

W odróżnieniu od swojego przełożonego Frątczak pobladł. Zupełnie nie przewidział, że największe konsekwencje swojego działania może ponieść właśnie on sam. Co z tego, że napisał raport? Widać, że Kosiński zawsze się wybroni i znajdzie jakiegoś kozła ofiarnego. W tym przypadku swojego zastępcę.

– Od jak dawna to trwa?

– Od kilku tygodni – jęknął przerażony Zdzisław, czując, że się pogrąża.

Kosiński rozejrzał się po biurku. Na szczęście dla swojego zastępcy nie w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu do rzucenia, ale za papierosami. Zapalił i natychmiast wyciągnął z biurka butelkę wódki. Odkorkował ją i pociągnął solidny łyk prosto z faszki. Frątczak poczuł, że i jemu przydałaby się taka dawka alkoholu. Nie miał jednak co na nią liczyć.

– Tyle że wcześniej dostawaliśmy jedynie pozytywne raporty – zaczął się usprawiedliwiać. – Nawet sekretarz PPR-u z Rzeszowa jechał tam, bo otrzymał informację od samego kierownika PUBP, że Kosa został zatrzymany. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przynajmniej tak sądzili.

– Zaraz, zaraz – zamyślił się Tadeusz – ale tam wynikła wcześniej jakaś sprawa z zamordowaniem jednego z oficerów.

– Dokładnie chodziło o kapitana Bagińskiego, znanego bardziej jako „Rzeźnik z Przemyśla”. Specjalistę od przesłuchań. Był to efekt nieudanej prowokacji Wolskiego, przez co zgodnie z przesłanym nam raportem został on

zatrzymany i wszczęto przeciwko niemu dochodzenie. Okazało się jednak, że Wolski działał dalej.

– To co tam za burdel panował? – zdziwił się pułkownik.

Frątczak wzruszył ramionami.

– Atak na UB i koszary miał miejsce ponad miesiąc temu. Jak najszybciej przygotowałem szczegółowy raport i przekazałem go towarzyszowi pułkownikowi.

„Dokładnie ten sam, który odesłałem do Rzeszowa” – pomyślał przerażony Tadeusz. Dopiero teraz dotarło do niego to, jak poważna jest ta sprawa i jakie ma szczęście, że Bierut dał mu jeszcze jedną szansę. Nie było innego wyjścia. Trzeba działać, i to natychmiast.

– Sprowadź mi na jutro rano trzech najlepszych ludzi – rozkazał. – Musimy zmontować specjalną grupę, opracować plan i ją tam wysłać.

Frątczak wiedział, że to jemu najbardziej powinno zależeć na tym, żeby sprawa Przemyśla została jak najszybciej zakończona, i to pełnym sukcesem. Zrozumiał, że warto na jakiś czas odpuścić sobie kopanie dołków pod swoim przełożonym. Na to przyjdzie jeszcze pora, ale na pewno od teraz będzie to robił zdecydowanie ostrożniej. Skinął energicznie głową, strzelił oficerkami i ruszył do drzwi.

– Aha, i jeszcze jedno – zatrzymał go w progu Kosiński. – Dowiedźcie się, w której knajpie pije Nowacki.

*

Grubas wyszedł zza baru. Zdjął przewiazaną w pasie brudną ścierekę i przetarł nią łysinę. Powolnym krokiem

ruszył w stronę Adama Nowackiego, który bełkotliwie domagał się jeszcze jednej kolejki.

– Więcej nie dostaniesz – wymruczał właściciel knajpy, opierając się o stolik. – Chyba że masz pieniądze.

Całkiem niedawno Nowacki był najlepszym klientem w Warszawie, ale wtedy nie zachodził do takich melin jak „Fortuna”. Jej właściciel nie mógł jednak narzekać. Kiedy Nowacki się stoczył i przepił wszystko, co miał, zaczął odwiedzać jego lokal. Chyba dlatego, że już tylko tutaj mógł pić na krechę. Nie obchodziło go to, skąd Adam brał pieniądze, najważniejsze, że prędzej czy później zawsze regulował długi. Poza tym grubas dbał o to, żeby dług nigdy nie przekroczył określonej kwoty.

– Mam pieniądze – uspokoił go Nowacki. – Przyńś wódkę.

– Pokaż. – Grubas nie dawał za wygraną.

Adam spojrzał na niego z niezadowoleniem i westchnął. Zaledwie kilka tygodni temu takiej mendzie nie pozwoliłby nawet wyczyścić swoich butów. Skakali wokół niego najlepsi kelnerzy i właściciele najdroższych lokali w Warszawie. A teraz musiał udowadniać jakiemuś spocornemu grubasowi, że stać go na jeszcze jedną kolejkę tych szczyń, które tamten nazywał wódką.

Podrapał się po bliźnie przy prawym oku, która zawsze w takich sytuacjach dawała znać o sobie. Ktoś go upokarzał, a on nie mógł nic zrobić. Miał ochotę zdzielić właściciela knajpy w otluszczony podbródek, ale wtedy zostałyby mu już tylko podejrzane bimbrownie w piwnicach. Choć oczywiście to miejsce niewiele się od nich różniło. Starał się jed-

nak zachować jeszcze chociaż odrobinę godności i pokazać, że stać go na picie przy stoliku, a nie w wilgotnej ciemnicy.

Wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki pomięty papier i położył go na blacie. Grubas chwycił banknot, lecz zaraz z odrazą odrzucił z powrotem.

– Co jest, do cholery? – warknął. – Przecież tu jest krew.

– Ciężko zarobione – zaśmiał się Nowacki. – Jak nie chcesz, to nie.

Grubas pospiesznie zgarnął pieniądze ze stolika.

– No to jesteśmy kwita. I jeszcze na jakieś dwie kolejki ci wystarczy.

– To przynies obie, żebyś nie musiał latać.

Nowacki obserwował przez chwilę grubasa idącego do baru, ale tak naprawdę jego uwaga skupiła się na mężczyźnie siedzącym przy stoliku naprzeciwko. Ostatnio za każdym razem go tutaj spotykał i przestawało mu się to podobać. Podejrzewał, że to kolejny z młodych egzekutorów, który chce się wkupić w łaski podziemia, próbując zlikwidować osławionego kabewiaka.

– Proszę. – Tym razem grubas wysilił się na odrobinę uprzejmości, stawiając przed nim dwa kieliszki. Adam odpowiedział skinieniem głową i pospiesznie je opróżnił. Jeden za drugim.

– Następnym razem coś zjem.

– Polecam golonkę.

Nowacki uśmiechnął się. Zawsze żegnali się właśnie w ten sposób. Lecz on nigdy nie spróbował tak wychwalanego dania. Kiedy zaczynał pić, jego żołądek nie potrzebował innych dodatków. A ostatnio tylko to robił.

Wychodząc, zauważył, że obserwujący go mężczyzna również podniósł się z miejsca. Teraz nie miał już wątpliwości, z kim ma do czynienia. Zaciągnął mocniej poły skórzanej kurtki, poprawił cyklistówkę i wyszedł.

*

Heniek Małek przebiegł przez ulicę. Wolał trzymać się nieoświetlonej strony chodnika. Liczył na to, że w miejskim mroku będzie niewidoczny. Uważał, że szło mu bardzo dobrze. Śledził Nowackiego już kilkaset metrów i ani na chwilę nie stracił go z oczu. Podążał za nim, ciągle się zastanawiając, jak zwykły pijak może sprawiać tyle problemów.

Bohater z Wałcza nadal był numerem jeden na liście konfidentów do odstrzelenia, ale Komenda Główna nie nalegała już na jego egzekucję. Pewnie dlatego, że za każdym razem to egzekutor stawał się ofiarą, którą znajdowano z przestrzelonym sercem. Jak do tej pory Nowacki załatwił pięciu najlepszych ludzi podziemia i teraz każdy już tylko na własną odpowiedzialność brał to zadanie.

Przyspieszył, gdy Adam zniknął za rogiem kamienicy. Przebiegł na drugą stronę przed przejeżdżającym samochodem. Na szczęście kierowca nie zatrąbił. Pogroził tylko pięścią, lecz Małek się tym nie przejmował. Liczyło się tylko to, by dopaść szpicla. To była dla niego jedyna szansa dostania się do antykomunistycznego podziemia. Chciał udowodnić, że nie mają do czynienia z byle chłopaczkiem, któremu zamarzyła się przygoda z pistoletem. Liczył, że po takiej akcji

sami wciągną go w swoje szeregi. I to nie do partyzantów schowanych w lasach, dla których zaszczytem jest odstrzeżenie jakiegoś sekretarza z powiatowego komitetu PPR. On miał ambicję likwidować tych na najwyższych stanowiskach, a śmierć Nowackiego miała być do tego przepustką.

– Kurwa mać – zaklął po cichu, gdy za rogiem kamienicy nie dostrzegł znajomej kurtki.

Nowacki zniknął. Nie mógł jednak być daleko, bo stracił go z oczu zaledwie na kilka sekund. Zdenerwowany ruszył przed siebie, mając nadzieję, że znajdzie go za następnym skrzyżowaniem. Kiedy przebiegł obok jednej z bram, usłyszał za sobą kroki. Małek zatrzymał się i powoli obrócił. Za jego plecami Nowacki spokojnie palił papierosa.

– Chcesz zostać bohaterem, tak? – zapytał.

Heniek pospiesznie ocenił sytuację. Pistolet miał wciśnięty za pasek. Wielokrotnie trenował wyciąganie go połączone z jak najszybszym odbezpieczeniem. Robił to wystarczająco prędko, by jakiś pijak nie stanowił dla niego zagrożenia.

– Odradzam. – Nowacki odrzucił niedopałek i ruszył w jego stronę. – Jeśli chcesz przeżyć.

Jeden krok, drugi... Małek wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Lewą ręką odchylił marynarkę, a prawą chwycił pistolet. Już miał go wyszarpnąć, kiedy zobaczył wycelowaną w siebie lufę visa.

– Ilu jeszcze mam zabić, żebyście zrozumieli, że to nie ma sensu?

Małek przełknął głośno ślinę. Zawalił na całej linii. Najpierw dał się podejść w najprostszy ze sposobów, a teraz

okazało się, że jest wolniejszy od kogoś, kto się z trudem utrzymuje na nogach.

Nowacki zabrał mu walthera i wrzucił do kieszeni kurtki. Był niższy od niego, ale za to dobrze zbudowany. Celując w czoło, unosił nieco rękę, ale nadgarstek miał wyprostowany. Poza tym śmierdziało od niego wódką i potem. Nie sprawiał wrażenia osoby, która wraca na noc do jakiegoś miłego zakątka.

– A teraz wyśkakuj z kasy – rozkazał Nowacki.

Egzekutor wyjął portfel i wyciągnął go przed siebie.

– A ty co? Masz mnie za idiotę? – skarcił go Adam. – Podaj mi pieniądze.

Małek wykonał polecenie.

– Przynajmniej nie będą we krwi. – Nowacki skrzywił się, patrząc na kilka banknotów, które wystarczą może na jedną wizytę w „Fortunie”. – Przed tobą przychodziły po mnie naprawdę nie lada kozaki. Każdy z nich kończył z kulką z tego oto pistoletu. Powiedz mi więc, co ci strzeliło do tego pustego łba, że wymyśliłeś sobie, że mnie załatwisz. Ktoś cię podpuścił czy dziewczynie chciałeś zaimponować?

– Nie wiem – zająknął się Małek. – Myślałem, że mi się uda, że zostanę egzekutorem, bo ja chcę walczyć...

– Dosyć – przerwał mu Nowacki. – Zamknij się i idź spać.

Heniek zdążył zauważyć szybki ruch ręki. Będący całkowitym zaprzeczeniem szybkości, jaką dysponuje ktoś, kto wcześniej wypił co najmniej pół litra wódki. Poczuł ból w skroni. Pociemniało mu w oczach i zwałił się na chodnik.

– Pierwszy lepszy szczył myśli sobie, że może mnie zabić. – Nowacki splunął na leżące ciało i odszedł.

– To nie może tak wyglądać! – wrzeszczał Piorun. – Stajemy się tacy sami jak oni!

Major Bogdan Pawlik pseudonim Kosa spojrzał na swojego plutonowego, który czerwony z wściekłości krążył po oficerskiej ziemiance. Waldemar Biernacki był jego przyjacielem i tylko to powstrzymywało go od przypomnienia mu, kto jest tutaj dowódcą. Każdego innego, który w taki sposób odniósłby się do wyższego stopniem, czekałaby kara. W końcu nadal byli wojskiem, a nie bandytami, za których uważała ich sowiecka propaganda. Dyscyplina powinna obowiązywać i tak też było w jego oddziale. Stosowali się do niej wszyscy oprócz Pioruna. Pawlik ze względu na bliską znajomość zawsze go słuchał, ale coraz śmielsze podważanie jego decyzji i manifestowanie swojego niezadowolenia zaczynało działać mu na nerwy. Wiedział jednak, że Waldek zawsze miał problemy z podporządkowaniem się przełożonym, dlatego też nigdy nie doszedł wyżej niż tylko do stopnia plutonowego.

– To są nasi wrogowie, a dla wroga nie ma litości – stwierdził spokojnie.

Piorun zatrzymał się i z niepokojem przyjrzał dowódcy. Nie mógł zrozumieć, że nie widzi on różnicy pomiędzy walką z wrogiem a zabijaniem gówniarzy, którzy dostali od Partii biało-czerwoną opaskę i karabin. Nie podobało mu się to i nie zamierzał milczeć. Obawiał się, że Kosa po udanej akcji w Przemyśle powoli popada w obłęd. Uwierzył, że oni naprawdę są w stanie zbrojnie się posta-

wić i wywalczyć wolność. To było niemożliwe, lecz Pawlik nie chciał o tym słyszeć. Organizował coraz śmielsze ataki i zazwyczaj pozostawiał po sobie tylko trupy.

– Nie rozumiesz, że oni tego właśnie chcą? Już nie muszą wymyślać o nas historyjek. Sami robimy z siebie bandytów. Powinniśmy przeczekać...

– Przeczekać? – przerwał mu major. – Najpierw czekaliśmy nie wiadomo na co, kiedy Niemcy panoszyli się w Polsce jak u siebie. Później czekaliśmy dalej, jak razem z Ruskimi wydzielali sobie nasze ziemie. Czekaliśmy na trzecią wojnę, na pomoc aliantów... Na co ty jeszcze chcesz czekać?

Piorun nie odpowiedział. Nie miał pojęcia. Wiedział jednak, że otwarta walka do niczego nie doprowadzi. Przecież w końcu ktoś musi im pomóc. Nie może być tak, że cały świat ignorował to, co się tutaj działo.

– Rudy i Donat szaleją. Niedługo komunistą będzie dla nich każdy, kto ma czerwone podniebienie.

– To moi najlepsi ludzie – uśmiechnął się Pawlik.

– A Bartek i Wolny? – zdziwił się Piorun. – Przecież to są twoi oficerowie?

– Mają za dużo wątpliwości.

Biernacki chciał chwycić za kołnierz swojego dowódcę, podnieść go i najnormalniej w świecie dać mu po pysku. Jak gówniarzowi, który gada głupoty. Bartek i Wolny słuchali Kosy, ale dowodzone przez nich akcje faktycznie kończyły się jedynie zdobyciem broni, jedzenia czy pieniędzy. Nie było niepotrzebnych trupów. Za to Rudy i Donat najpierw zaczynali od zabijania, a dopiero później skupiali

się na wykonaniu zadania. Dlatego zyskiwali w oczach dowódcy i to właśnie im ostatnio powierzał większość akcji.

Do Pioruna nie trafiały argumenty, że są przepełnieni chęcią zemsty. Wszyscy w oddziale kogoś stracili, ale to jeszcze nie dawało nikomu prawa do zabijania każdego, kto nie siedział z nimi w lesie. A najgorsze było to, że nowi, którzy dołączali do oddziału, wpatrywali się w nich jak w obrazek. To nie wróżyło niczego dobrego. Owszem, było o nich głośno. Milicjanci w większości się ich bali i urzędowali tylko w dzień. Na noc opuszczali swoje posterunki i po prostu zapadali się pod ziemię. W większych miejscowościach zdarzali się bohaterowie, którzy nie zamierzali uciekać przed bandytami z lasu. Na takich Kosa wypuszczał Berga i Donata.

Przez ostatnie kilka tygodni doszło nawet do tego, że mogli spokojnie przechadzać się po ulicach Przemyśla. Nikt nie widział lub nie chciał widzieć broni i ładownic wystających spod kurtek, a milicyjne patrole schodziły im z drogi. To nie mogło trwać w nieskończoność. Do miasta na pewno wróci za jakiś czas radzieckie wojsko i wspomóżę przestraszonych chłopców, którym udało się przeżyć ich atak. A wtedy znowu zacznie się życie prawem wilka.

– Bogdan – jęknął zrezygnowany Piorun. Usiadł obok dowódcy i spojrzał na niego błagalnie. – Nie odpuszczaj nam i zacznie się obława. A niektórzy naprawdę nie mają już siły walczyć.

– Mówisz o sobie? – zdziwił się Kosa.

Biernacki chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Do ziemianki wpadł zdyszany Donat.

– Ruscy wrócili do Przemyśla – wysapał, stając przed nimi z rękami wspartymi na udach.

– No to się zaczęło – uśmiechnął się Kosa, tym razem ignorując nieregulaminową postawę żołnierza.

Piorun podniósł się, poprawił mundur i naciągnął rogatywkę. Wychodząc, spojrzał z pogardą na Donata, zirytowany tym, na jak wiele sobie on pozwala przy dowódcy. Przecież oni cały czas byli wojskiem.

– Stoisz przed wyższym stopniem, żołnierzu! – wrzasnął, plując mu do ucha.

Zdezorientowany Donat wyprężył się, natychmiast przypominając sobie o żołnierskiej dyscyplinie. Piorun trzasnął go otwartą dłonią w tył głowy i wyszedł z ziemianki. Major zaśmiał się i pokiwał głową.

– Odmaszerować – wydał krótką komendę.

Pętla
Copyright © Grzegorz Majewski
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Grzegorz Araszewski
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-360-8
epub ISBN 978-83-7995-361-5
mobi ISBN 978-83-7995-362-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Kurzydłowska
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Grafika na okładce: Grzegorz Araszewski
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@literate.pl
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



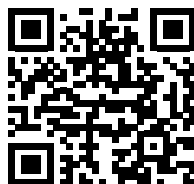
BLUES O KRWI I TRAWIE PAWEŁ CIEĆWIERZ

Nadię Wid i Ryszarda Zwierza połączyła sprawa zaginionej dziewczyny, która na krótko pojawiła się w życiu każdego z nich. On, mężczyzna z przeszłością, był bokser, obecnie mało znaczący śląski handlarz ziołem. Ona, kobieta z przyszłością, kiedyś najlepsza dziennikarka śledcza, obecnie celebrytka.

Czy poradzą sobie na śląskiej „ulicy”, na której seks, przemoc i narkotyki spotyka się częściej niż bezpłatne miejsca parkingowe? Czy są w stanie zaufać sobie na tyle, żeby wmieszać się w najbrudniejsze interesy? Co zmieni się, kiedy sprawa zaginionej dziewczyny nabierze kontekstu politycznego, a bardzo wielu ludzi poczuje się zagrożonych ich dociekliwością?

Istnieją miejsca, które piętnują duszę i serce. Istnieją zbrodnie, których nie można wybaczyć i zasady, których nie można złamać!

Ryszard i Nadia mogą ostatecznie liczyć tylko na siebie. Czy tyle wystarczy? Wierność ma w końcu swoją cenę, nieszczególnie wysoką w świecie dilerów i dziennikarzy.





FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybuchają panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.- **Michał Chmielewski**, autor *Złe* i *Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE



[Kup książkę](#)



PANACEUM AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyjrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozabawieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty. Przy tej książce zapomina się o całym świecie.
Hanna Greń, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

DRUGI TOM SERII MIASTO OBIECANE



[Kup książkę](#)



ZŁE

MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili,
a zło zatriumfuje* – Edmund Burke

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziłiby się tej opowieści.



[Kup książkę](#)



INDYGO

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

W Baskin Zachodnim dzieci znikają bez śladu niemal od zawsze. Uciekają z domu czy są uprowadzane? Żyją czy umarły? Nikt nie wie, jaki spotykał je los.

Nikt prócz Kusaka. Sadystycznego seryjnego mordercy, który je porywa i w bestialski sposób morduje. Równie wiele przyjemności jak torturowanie ofiar sprawia mu gra jaką prowadzi z lokalną społecznością i policją. Psy-

chopata na co dzień przybiera różne maski: wzorowego obywatela, sympatycznego sąsiada, wolontariusza zaangażowanego w pomoc rodzinom ofiar. Karmi swoje ego ich cierpieniem, bezradnością i łatwowiernością. Czuje się bezkarny.

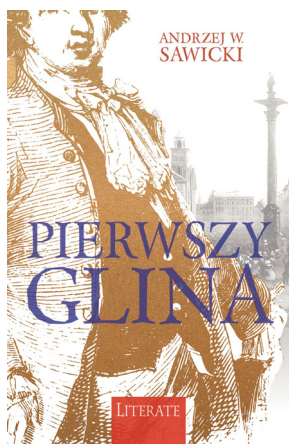
Los stawia jednak na jego drodze nietypowych przeciwników. Dwoje nastolatków połączonych tragedią i wspólnymi tajemnicami odkrywa, jaki los spotyka zaginione dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to wysoką cenę. Być może zbyt wysoką?

Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!



[Kup książkę](#)



PIERWSZY GLINA ANDRZEJ W. SAWICKI

W grudniu 1807 roku spokojnym warszawskim Żoliborzem wstrząsa potężny wybuch, który niszczy pałacyk zajmowany przez oficera armii napoleońskiej. Policjanci z nowo utworzonego Wydziału Śledczego wszczynają dochodzenie, ale szybko zostają odsunięci od sprawy przez Francuzów. Nie dają za wygraną, bo Warszawa to ich miasto i zabójcy nie będą się tutaj szarogęścić. Szybko okazuje się, że afera sięga samych szczytów władz Księstwa Warszawskiego...

Kilka miesięcy później w swoim kantorze przy ulicy Gęsiej został brutalnie zamordowany Leopold Atalias, szanowany żydowski finansista, jeden z pięciu wekslarzy wybranych do ustalania kursów i stóp procentowych w Księstwie Warszawskim.

Czas, miejsce i narzędzie zbrodni wprawiają Glinę w konsternację. Wszyscy funkcjonariusze Wydziału Śledczego zostają oddelegowani do rozwiązania sprawy. Podejrzani są jednocześnie członkowie rodziny, wierzyciele, konkurencja zmarłego, a nawet agenci wywiadów Rosji i Prus. Nie da się również wykluczyć udziału ortodoksyjnych kabalistów lub religijnego motywu zbrodni.

